WTOREK
ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW
Nr 109 12 IX 1989 r. Cena 90 zł

WITAM!

Miło mi przedstawić nowych członków Ligi Reporterów.
Są to dziewczyny:
ANNA STROJNA z woj. krakowskiego
i **ŻANETA KŁYSIŃSKA** z Kłobucka
Serdecznie gratuluję, znaczki LR wysyłam pocztą.

Wszystkim Czytelnikom przypominam, że aby zostać członkiem Ligi Reporterów, trzeba brać udział w proponowanych przeze mnie tematach. Trzy reportaże czy opowieści zamieszczone w gazecie uprawniają do otrzymania tytułu członka LR.

Aktualny temat dotyczy wydarzeń sprzed 50 lat, czyli **września** 1939 roku i konsekwencji, jakie wojna spowodowała wpływając na losy milionów Polaków. Wzywam, byście spisali opowieści Waszych krewnych. Tytuł zadania LR brzmi: **TEGO NIE MOŻNA ZAPOMNIEĆ.**

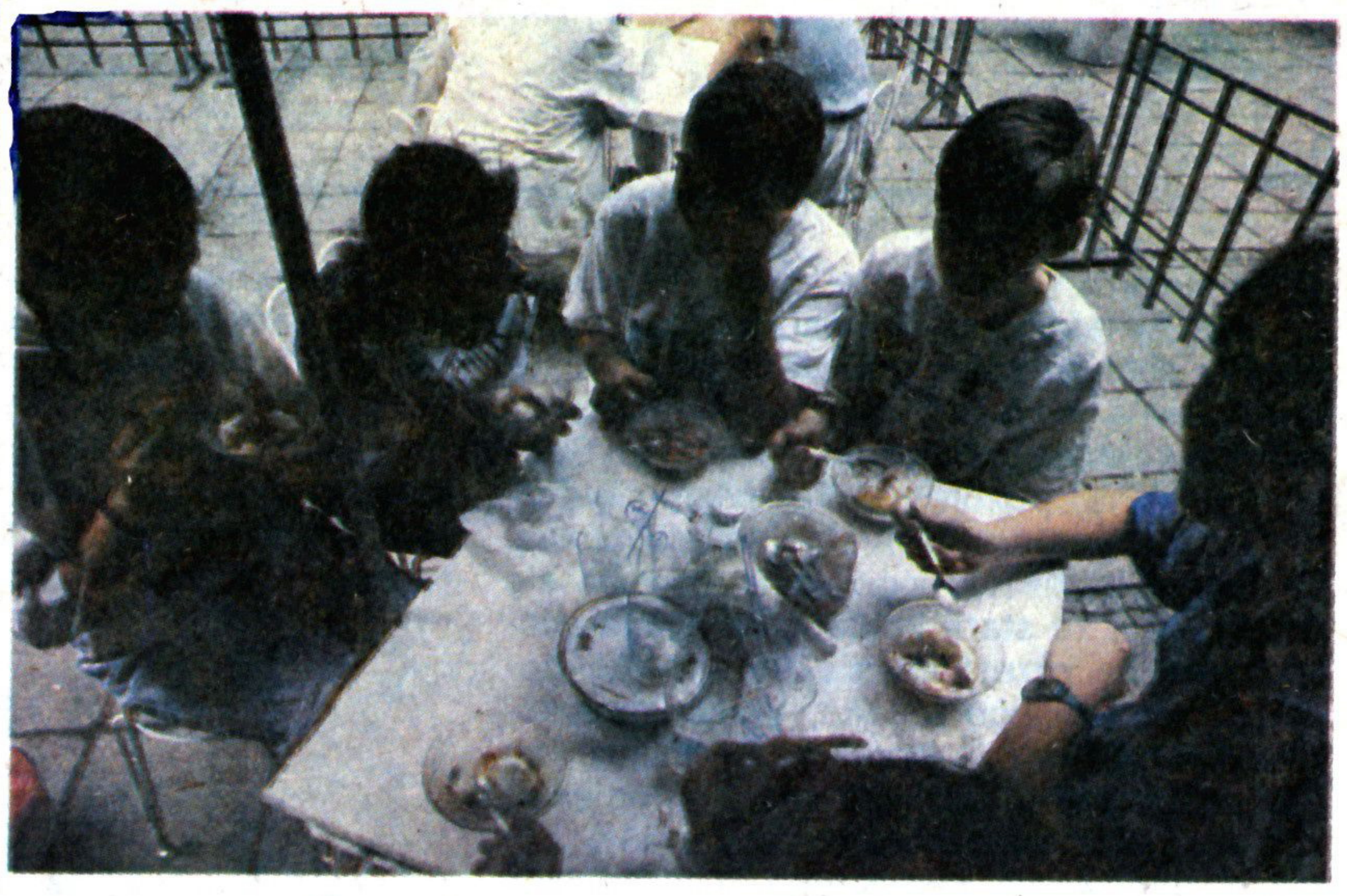
Szef Ligi Reporterów

Koniec „księżycowego krajobrazu"

(PAP). W Górach Świętokrzyskich prowadzone są prace zmierzające do rekultywacji „księżycowego krajobrazu" powstałego głównie w wyniku robót górniczych przy wydobywaniu surowców do produkcji materiałów budowlanych. Wyrobiska zasypywane są ziemią i przekazywane rolnictwu do zagospodarowania lub zalesiane. Wiele drzew i krzewów zasadzono już na terenach dawnych kopalni odkrywkowych koło Morawicy, Gacek, Górna, Chęcin i innych miejscowości.

Poważnym problemem jest zagospodarowanie hałd odpadów kamiennych, zalegających w pobliżu zakładów wydobywczych i zakładów produkcji kruszywa.

PO PRAWEJ POMNIK, PO LEWEJ PAŁAC, PRZED NAMI LODY W HORTEXIE



Starówka – Łazienki – Wilanów, trzy żelazne punkty programu wycieczek po Warszawie, jak co roku latem pełne były zagranicznych turystów. Ci na naszych zdjęciach, mimo że zagraniczni, są również swojscy, mówią lepiej lub gorzej po polsku i mają w naszym kraju swoje babcie, ciocie i dalszych krewnych. Byli uczestnikami jednej z 38 kolonii polonijnych, które obowiązkowo zwiedzały Warszawę. Oprócz spaceru po Królewskim Trakcie każda grupa zaliczała m.in. oglądanie panoramy stolicy z 30 piętra Pałacu Kultury, wycieczkę do Muzeum Wojska Polskiego, pobyt w wesołym miasteczku i przejażdżkę statkiem po Wiśle. Do kompletu brakowało niestety zwiedzania Zamku Królewskiego, do którego wejść w sezonie to marzenie ściętej głowy i nawet protekcja Towarzystwa Polonia nic tu nie mogła pomóc. (O koloniach polonijnych pisze Grażyna Szroeder na str. 3.)

Fot. **Mieczysław Włodarski**

JUŻ JUTRO: RUCH – SREDEC, BARCELONA – LEGIA, GÓRNIK – JUVENTUS, PALLOSEURA – GKS

O szczegółach jutrzejszych rozgrywek pucharowych i rywalach polskich drużyn piszemy na str. 6-7



O zachodzie

FIRMA POETYCKA ZŁOTY SZERSZEŃ

Nad horyzontem rozkwita
bukiet płomiennych maków.
Tak bardzo
chciałabym
oderwać kilka płatków
ciepłego nieba
i podarować ci
Na szczęście.

Ingunn
Jaworzno

Wakacyjny Konkurs Poetycki

Chwilo, trwaj! Jesteś tak piękna

Czytelników pragnących wziąć udział w plebiscycie na najlepszy utwór wakacyjnego konkursu poetyckiego proszę o wycięcie tego wiersza dla porównania go z innymi. (**brz**)

Powietrze z czasów faraonów?

(PAP). Piramida Cheopsa nie daje spokoju uczonym. Niedawno egipsko-amerykańska ekipa wykonała w budowli wiercenia, by pobrać próbki powietrza z wnętrza tej budowli. Przypuszczano, że w szczelnie zamurowanym grobowcu zachowało się powietrze sprzed 4600 lat, którym oddychano w czasach faraonów. Uczeni chcieli stwierdzić, czy różni się ono od współczesnego. Dużym zaskoczeniem było znalezienie we wnętrzu piramidy... żywego żuka! Okazało się, że budowla nie jest hermetyczna. W jej wnętrzu jest współczesne powietrze, a jego całkowita wymiana trwa zaledwie kilka miesięcy.

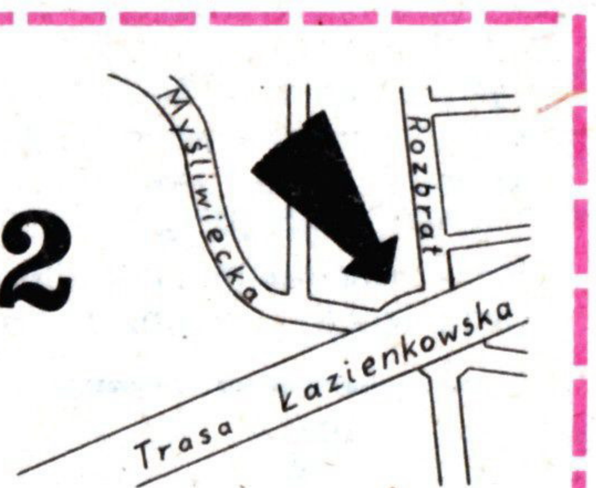
Przy okazji tych poszukiwań znaleziono szczątki łodzi. Jest ona podobna do znalezionej w 1954 r., ale znacznie gorzej zachowana. Nie wiadomo, dlaczego łódź pogrzebana w pobliżu piramidy przetrwała niemal nienaruszona, zaś druga, ukryta w jej wnętrzu, całkowicie spróchniała. Tłumaczy to, dlaczego w piramidzie jest nieco większa koncentracja dwutlenku węgla. Gaz ten pochodzi z rozkładu drewna.



Chwila odpoczynku sprzyja lekturze. Jakie to szczęście, że to wakacje i zamiast książki do fizyki można zgłębiać tajemnice... wiadomości z terenoznawstwa (o obozie „Cichociemnych" czytajcie na str. 4,5).

Szlakami SZARYCH SZEREGÓW po Warszawie (2)

KOLEKCJA ŚWIATA MŁODYCH



2) Tam gdzie wiadukt obecnej Trasy Łazienkowskiej przebiega nad ulicą Myśliwiecką, po lewej stronie, widać w dole rozległy, okazały budynek. To znane **warszawskie Liceum im. Stefana Batorego**. W holu budynku duża, pamiątkowa tablica ku czci wszystkich wychowanków i profesorów przedwojennego Państwowego Gimnazjum im. Stefana Batorego, którzy zginęli podczas II wojny światowej. Wśród kilkuset nazwisk umieszczonych na tablicy – nazwiska tak bliskie sercom harcerzy: Jan Bytnar – „Rudy", Aleksy Dawidowski – „Alek", Tadeusz Zawadzki – „Zośka". Tak, to tu działała (i działa do dzisiaj) słynna „Pomarańczarnia" – 23 Warszawska Drużyna Harcerzy, której członkowie tak mocno wpisali się w wojenne losy Szarych Szeregów. Uważają nawet niektórzy Batorego i „Pomarańczarnię" za kolebkę konspiracji harcerskiej. Tak jak za kolebkę podziemnej organizacji harcerek uznawane jest Gimnazjum im. Królowej Jadwigi (mieściło się przy Placu Trzech Krzyży, dziś budynek ten nie istnieje, a stoi w tym miejscu pomnik Wincentego Witosa). Nieco w tym przesady, bo choć zasługi tych środowisk są bezsporne, to przecież na konspiracyjną pracę Szarych Szeregów składał się wysiłek setek środowisk harcerskich w całym kraju. Znamienny bardzo jest fakt, że gdy po zejściu organizacji do podziemia wysłannicy kierownictwa organizacji harcerzy ruszyli w teren, by odbudować siatkę organizacyjną Związku, wszędzie natrafiali na samorzutnie odtwarzające się dru-



REPORTER Świata Młodych

Tego nie można zapomnieć

Pamiętam – opowiada moja babcia – piękny letni dzień we wsi Huszcza, położonej z dala od kolei, a nawet szosy. Wojna tu docierała jedynie z daleka, gdyż bezpośrednich działań, bomb, ruin tu nie było. Spokój był jednak pozorny i tutaj działy się dramaty spowodowane II wojną światową. Takiego właśnie letniego dnia rozeszła się wiadomość, że stara kobieta, wzywana wielokrotnie na przesłuchanie (w sprawie bodajże niemieckiego lotnika, który zdezerterował i nawiązał kontakt z miejscową ludnością, która udzieliła mu schronienia) została przez niemieckich żandarmów czy też gestapowców zastrzelona w łóżku. Nie wiem czy udawała chorą, czy była chora istotnie, dość, że sama nie chciała iść w niemieckie łapy i leżała w łóżku. Zjawili się Niemcy i w domu Mironiuków huknął strzał. Zabito ją w jej własnym łóżku!

Było to już po rozpoczęciu się wojny niemiecko-radzieckiej poprzedzonej wielkim przemarszem, a właściwie przejazdem, po zęby uzbrojonych żołnierzy niemieckich w kierunku niedalekiego Bugu. Ludzie liczyli, że „niedźwiedź polarny" – jak mówiono o Rosji – obudzi się i Niemcy szybko będą uciekać. Tak się nie stało. Natomiast zniknęła ze wsi jedyna rodzina żydowska żyjąca zresztą nie z handlu, a uprawy kawałka ziemi i mieszkająca w dość mizernie prezentującej się chałupinie. Wokół domu grzebało stadko kur, to pamiętam, ale nawet nie wiem, czy ci starsi już wiekiem Teuflowie mieli choćby kozę, którą w niektórych rejonach Polski nazywano „żydowską krową"? Na początku stacjonujący żołnierze niemieccy wykonywali nawet zdjęcia tej pary żydowskich wieśniaków – kazali im pozować z motyką w

LĘK DŁUGO MNIE NIE OPUSZCZAŁ

rękach i schylonym grzbietem. Bardzo się im podobała taka sytuacja, dość nietypowa istotnie, bo większość Żydów zajmowała się handlem, także obwoźnym. Na furach jeździli od wsi do wsi i skupowali szmaty, a sprzedawali jakieś garnki, dzbanki. Rodzina ta zniknęła ze wsi, gdyż starzy (byłam wtedy smarkata, może tylko wydawali mi się starzy?) po prostu zostali zabici przez „nadludzi". W obu przypadkach: zabicia w łóżku kobiety i zabicia dwojga biedaków, dlatego tylko, że byli Żydami, wydawało mi się czymś niepojętym... Zaczęłam się potwornie bać ludzi w niemieckich mundurach i żadne dobrotliwe gesty, jakimi czasami kierowali się wobec dzieci, częstując je cukierkami, nie mogły mnie od tego lęku uwolnić. Nigdy też nie wzięłam cukierka, choć były to rarytasy nie do osiągnięcia w wiejskim sklepiku.

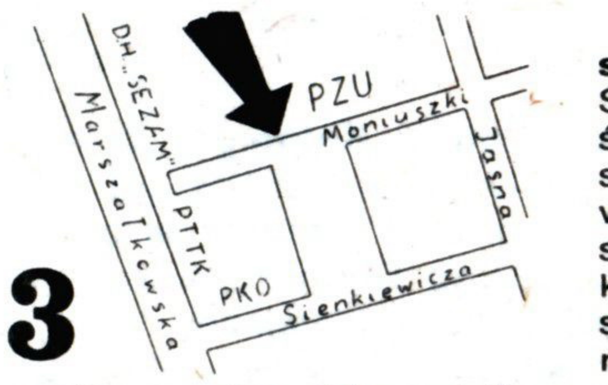
Taki sam piękny dzień był, gdy przyjechałam z ciocią do Chełma. Podróż z Huszczy do tego miasta była dość uciążliwa, gdyż najpierw należało się dostać do Łukowa czy Dęblina, już dobrze nie pamiętam, by wsiąść do pociągu. Mimo tych trudności przecież Polacy i w czasie okupacji sporo podróżowali i odwiedzali swoje rodziny. Główną ulicą Chełma była wtedy ulica Lubelska i właśnie na niej usłyszałam jakiś straszliwy łomot, stukot. Wkrótce już wiedziałam, że to idą jeńcy sowieccy. Wyglądali jak cienie ludzkie, a łomotali butami na drewnianych podeszwach i ciągnęli, zaprzęgnięci jak konie, wielki wóz. Był to widok, którego nie mogę zapomnieć. Mężczyźni ci byli niezwykle wychudzeni, mieli po prostu szare twarze, choć świeciło słońce. Byli tak głodni, iż podnosili z ziemi ogryzki jabłek i natychmiast wkładali je do ust. Budzili wielkie współczucie i widziałam, że co odważniejsi, stojący na chodnikach Polacy starali im się podrzucić kawałki chleba. Było to, rzecz jasna, surowo zabronione i należało tylko liczyć na brak spostrzegawczości prowadzących jeńców niemieckich żołnierzy. A może zresztą i w nich tliła się jakaś iskra człowieczeństwa, przecież nie wszyscy pragnęli zostać żołnierzami Adolfa Hitlera? Ale ta uwaga wtedy nie przychodziła mi na myśl, dopiero teraz, po latach. W Chełmie byłam parę dni, już po wojnie dowiedziałam się, że wyginęło tam tysiące wziętych do niewoli jeńców radzieckich.

Wspomnienie Babci Marii
zanotował – **Michał**

KĄCIK PRZYJACIÓŁ

● Jestem trochę zwariowaną, zielonooką 15--latką. Marzę o tym, aby choć na chwilę przenieść się do państwa faraonów, ponieważ moją pasją jest historia starożytnego Egiptu i Sumeru. Pochłania mnie świat wzorów, iksów i doświadczeń, czyli matematyka i fizyka. Uwielbiam żuć gumę, chrupać słone paluszki i pić colę przez słomkę. Lubię wieczory przy łagodnym świetle lampy i muzykę dyskotekową. Kocham piesze wędrówki, **Anna Nowak, Karchów 22, 47-270 Gościęcin**; ● Jestem wesołą, 16-letnią dziewczyną. Lubię sport, dobrą muzykę i malarstwo. U ludzi cenię humor, szczerość i przyjaźń. Nienawidzę szpanerstwa. Kocham wolność i chcę żyć w wolności. Szukam prawdziwych przyjaciół, **Katarzyna Babiewicz, ul. 22 Lipca 3/3 19-303 Ełk**; ● Mam 10 lat. Zbieram znaczki pocztowe, widokówki, pocztówki i kartki świąteczne. Kocham zwierzęta, ale nienawidzę much i komarów. W domu mam psa i papużki faliste. Chciałabym nawiązać kontakt z dziećmi z całej Polski. Napiszcie do mnie, **Agnieszka Dębiec, ul. Bosmańska 29c/2, 75-373 Koszalin**; ● Jestem 13-letnim chłopcem o wesołym usposobieniu. Wolny czas lubię spędzać czytając ciekawe książki i jeżdżąc na rowerze. Jestem zapalonym kibicem kolarskim. Zbieram plakaty i informacje o kolarzach. Nie znoszę muzyki dyskotekowej, ale lubię słuchać heavy metal. Chciałbym znaleźć przyjaciela, **Maciej Nieślańczyk, ul. A. Asnyka 13/3/3, 59-220 Legnica**; ● Mam 13 lat i chodzę do VI klasy. Bardzo sobie cenię humor i uśmiech. Jestem optymistką. Zbieram naklejki, widokówki i znaczki. Lubię zwierzęta. Interesuję się muzyką i sportem. Sama uprawiam koszykówkę. Wszystkich, którzy chcieliby mieć przyjaciela, proszę o listy, **Agnieszka Zębrzycka, ul. I A. WP 29/118, 22-100 Chełm**; ● Jesteśmy przyjaciółkami. Mamy po 15 lat (165 oraz 168 cm wzrostu). Interesujemy się sportem i muzyką dyskotekową. Jesteśmy na ogół wesołe i zadowolone z życia. Lubimy chodzić do kina i czytać książki. Wielką przyjemność sprawia nam długi spacer z psami po parku. Naszymi ulubieńcami są: A-ha, Pet Shop Boys, Dire Straits. Czekamy na listy, **Aleksandra Pastuszka, ul. B. Chrobrego 43/146, 40-881 Katowice**; ● Mam 13 lat. Interesuję się sportem – szczególnie siatkówką i pływaniem. Lubię tańczyć i należę do koła tanecznego. Mam 162 cm wzrostu i jestem brunetką. Chętnie nawiążę korespondencję z osobami z całej Polski, **Małgorzata Kuczyńska, ul. Chabrowa 5, 12-200 Pisz**; ● Mam 15 lat. Interesuję się sportem i muzyką italo-disco. Cenię ludzi życzliwych i wytrwałych. Uwielbiam patrzeć na zachód słońca oraz tańczyć. Odpiszę na każdy list, **Agnieszka Tomaszewska, Kamieniec 23, 87-875 Topólka, woj. włocławskie.**

żyny harcerskie, które nie czekając na dyspozycje „z góry" na własną rękę podejmowały pracę konspiracyjną. Jak miała wyglądać ta praca? Cel wydawał się jasny – odzyskanie niepodległości. Ale jakimi metodami do niego dążyć w organizacji wychowawczej, w harcerstwie? Jedni twierdzili, że w czasie wojny liczy się tylko walka, inni – przekonywali, że właśnie przede wszystkim wychowanie dla przyszłości. Ostatecznie wybrano wariant najsłuszniejszy – wychowanie przez walkę. ■



3

3) **Ulica Moniuszki 8** – centrum Śródmieścia. Mieści się tu znany, szczególnie przed wojną, warszawski lokal rozrywkowy „Adria". Wpisał się on w historię konspiracyjnego harcerstwa jako miejsce pierwszej, czynnej akcji przeciwko okupantowi.

Na niedożywioną ludność Warszawy, żyjącą wśród nieuprzątniętych jeszcze ruin, bardzo deprymująco wpływały luksusowe lokale „nur für deutsche" (tylko dla Niemców) otwarte natychmiast w stolicy. Przepych wystroju, bogactwo na stołach i manifestacyjna buta „zwycięzców" pogłębiały przygnębienie oraz poczucie przegranej w Polakach.

Przeciwko temu właśnie postanowiła wystąpić grupa harcerzy działających w ramach PLAN-u (Polskiej Ludowej Akcji Niepodległościowej). Niemcy upojeni zwycięstwem witali nadchodzący Nowy Rok 1940 jako zapowiedź następnych sukcesów. Także w „Adrii" zapowiedziano huczny bal sylwestrowy, w którym wziąć mieli udział wysocy funkcjonariusze niemieccy i współpracujący z nimi volksdeutsche. W noc sylwestrową grupa młodych ludzi (w tym jedna dziewczyna) pod dowództwem harcmistrza Jana Błońskiego – ps. „Sum" „zagazowała" salę balową „Adrii" środkami wywołującymi wymioty. Niemałą satysfakcję sprawił harcerzom widok wystrojonych kobiet i mężczyzn, którzy zamiast triumfalnego powitania Nowego 1940 Roku w panice opuszczali lokal i „chorowali" w śniegu na ulicy.

Akcja ta odbiła się szerokim echem w Warszawie dając Polakom nadzieję, a Niemcom przeświadczenie, że nie są bezkarni.



Właściwa „Adria" mieściła się w budynku, który dziś już nie istnieje. Obecnie lokal „przytulił się kątem" na parterze okazałego budynku zajmowanego przez PZU.

OLGIERD LEWAN
Fot. **M. Włodarski**

Kącik Przyjaciół

Mam 14 lat, wesołe usposobienie i lubię nierealne marzenia. Uwielbiam spacery o zachodzie słońca. Lubię muzykę dyskotekową, książki oraz psy. Może wśród czytelników znajdzie się ktoś o podobnych zainteresowaniach? **Kinga Czeczyk, ul. Powstańców Wlkp. 7, 88-430 Janowiec Wlkp.**; ● Mam 13 lat, jestem uczennicą VII klasy. Moją największą pasją jest przyroda. Kocham wszystkie zwierzęta i jestem wrażliwa na ich krzywdę. W domu hoduję papugi: Kubusia i Kasię oraz wspaniałego psa Pikusia. Zajmuje mnie wszystko, co jest związane z botaniką i zoologią. Bardzo lubię różnego rodzaju prace techniczne i robótki ręczne. Uwielbiam gotować. Bardzo chciałabym nawiązać kontakt z osobami, które podobnie jak ja nie umieją znaleźć sobie przyjaciół, **Beata Tabisz, ul. LWP 4/20, 88-180 Barocin, woj. bydgoskie**; ● Mam 14 lat, uczęszczam do VII klasy. Jestem raczej spokojna, cicha i zrównoważona. Lubię w samotności pomarzyć, przeczytać książkę, obejrzeć dobry film. Nie jestem jednak ponurakiem. Uwielbiam się śmiać. Nienawidzę chamstwa, lizusostwa i zarozumialstwa. (Może dlatego nie mam przyjaciela.)

Brygida

REDAKCYJNA POCZTA

„Kujony", „Lizusy", „Kable"

Piszę ten list w sprawie dotyczącej większości uczniów szkół podstawowych. Chodzi o przezwiska, które słyszy się na przerwach i lekcjach: „Kujon", „Lizus" itp.

Sądzę, że te przezwiska są głupie i niesprawiedliwe, a potrafią człowiekowi zatruć życie. Dlaczego złośliwy przydomek „Kujon" otrzymuje każdy, kto chce mieć dobre oceny? Czy ktoś, kto na przerwie zobaczył bójkę, która mogła się źle skończyć i poszedł po nauczyciela, zasłużył na przezwisko „Kabel"? A wreszcie – czy nie jest niesprawiedliwe nazywanie „Lizusem" kogoś, kto podał kredę nauczycielce? Pomyślcie o tym!

Nan/Ania

Nie stać nas na uprawianie tego sportu

Po przeczytaniu listu „Kawalerzysty" (nr 80 „ŚM") postanowiłam też napisać. „Kawalerzysta" pisze z żalem, że w ich mieście nie ma klubu jeździeckiego. Otóż to! W moim mieście jest taki klub przy Państwowej Stadninie Koni: jest trener i są konie, ale są i ceny. Jedna lekcja kosztowała przed wakacjami ponad 1000 zł. Rozumiem, że pasza i sprzęt są drogie, ale jazda konna?

Wiele osób chce uczęszczać na tego rodzaju lekcje, ale ich nie stać. Żeby dobrze jeździć, trzeba na nie chodzić najmniej dwa razy w tygodniu, lecz wielu ludzi nie ma pieniędzy i chodzą najwyżej raz w tygodniu.

Ja mam 12,5 roku, marzę o wyścigach i sporcie wyczynowym, lecz przy takich cenach jest to dla mnie nieosiągalne.

CARINO

PS. Pisałam do Małgosi Sawicz z prośbą o przyjęcie mnie do klubu „Cwał" (oferta tego klubu była wydrukowana w „ŚM"). Zapewniała, że odpowiada na każdy list. Odpowiedzi do teraz nie mam. Myślę, że Małgosia przeczyta mój list i domyśli się, o kogo chodzi oraz odpisze mi, czy zostałam przyjęta do klubu.

Jak się zżyć z klasą?

Mam ponad 13 lat i chodzę do VII klasy. Mam duży kłopot, więc dlatego też piszę do Was. W klasie nikt mnie nie lubi. Nie jestem także wysportowana. Kiedy na ostatnim wf-ie graliśmy w piłkę, nie złapałam jej i dziewczyny od razu obrzuciły mnie epitetami. Kiedy nie złapałam drugi raz, było jeszcze gorzej, więc wyłączyłam się z gry. Dopiero wtedy rozpoczęła się afera, bo ta grupa, w której ja byłam, uważała, że jest poszkodowana. A i tak nikt nie rzuciłby mi piłki!

Jestem zupełnie wyczerpana nerwowo ciągłym „użeraniem" się z klasą. Co mam robić?

Zachowuję pozorną pogardę i obojętność wobec nich, nigdy pierwsza nie zaczynam kłótni. Ale wiem, że dłużej tak nie może być. Prędzej czy później będzie wybuch i dlatego muszę wiedzieć co mam robić.

„Monaliza"

OD REDAKCJI: Zawsze może być jakiś powód, dlaczego nie jest się lubianym. Nie wystarczy płakać i skarżyć się, trzeba... przede wszystkim przyjrzeć się sobie, no i starać się zmienić. Niewysportowanie oczywiście nie jest zaletą, ale też zwykle nie bywa powodem koleżeńskich dyskryminacji. Pewno jest coś jeszcze... a może tylko Ci się wydaje? Może przesadzasz? Czy rzeczywiście nie masz wśród koleżanek i kolegów żadnej przyjaznej duszy? Ejże?! (bs)





Kto i dlaczego przyjeżdża na kolonie polonijne

DO KRAKOWA NA KOLANACH

Chyba każdy u nas marzy o wakacjach za granicą. Wyjechać to znaczy więcej niż mieć ciuchy z Pewexu. Wyjechać to oderwać się od szarości ku kolorowym snom. Wyjechać to pokosztować, a przynajmniej powąchać możliwości, jakie roztacza przed człowiekiem świat. Wyjechać to być „lepszym", nawet jeśli granica nie jest ta „lepsza".

Tymczasem oni stamtąd przyjeżdżają do nas. Czy o tym marzą?

Ci z Zachodu nie muszą się odrywać, nie pragną pokosztować, może nawet nie wiedzą, co to znaczy się zachłysnąć. Przyjeżdżają, ponieważ w większości mają tu rodziny. Biorą udział w koloniach polonijnych, ponieważ one są tanie dla ich rodziców. No i jeszcze coś. Ci rodzice – Polacy spodziewają się, że kolonie w Polsce, dzięki opiece wykwalifikowanej kadry, dzięki wycieczkom, imprezom, zabawom, nauce języka, wykrzesają lub podsycą w ich dzieciach to, czym sami kiedyś nasiąkli, jakiś sentyment, który przechowują we własnych sercach, a który tak trudno jest przekazać i pielęgnować w dalekim świecie. Zwłaszcza gdy polszczyzny nie używa się na co dzień.

Polszczyzna. Różnie się ją traktuje. W wielu domach wygodniej i praktyczniej jest mówić językiem kraju osiedlenia. W innych próby rozmów po polsku w gronie domowników spotykają się z oporem ze strony dzieci: im się po prostu nie chce. Wielu niechętnie mówi po polsku, bo kiedyś ich z tego powodu wyśmiano na podwórku.

Wśród dzieci z małżeństw mieszanych, polsko-zagranicznych, daje się zaobserwować reguła „wpływu matki". Otóż dużo lepiej znają język ci, których mama jest Polką. Gdy Polakiem jest tata, z polszczyzną bywa gorzej. Zdarzyło się, że na lotnisku, w chwili powitania z babcią jej rodzony wnuczek nie umiał z siebie wykrztusić ani be, ani me, ku rozpaczy i wstydowi taty. W tym wypadku tata bardzo liczył na kolonijne lekcje języka polskiego.

Tak więc kolonie polonijne to szansa taniego zastrzyku polskości, którą rodzice Waszych rówieśników uznają za wartość godną hodowania. Raczej nie ma w tym marzeń, są życzenia, i to na ogół nie ze strony samych zainteresowanych.

Zupełnie inaczej jest za tymi granicami, które oddzieliły naszych rodaków od Polski nie w wyniku ich własnych wyborów, lecz tam gdzie historia ustaliła ich państwową przynależność: na Zaolziu na przykład i w republikach radzieckich.

Tam mówi się po polsku z oczywistej potrzeby. Przyjazd do Polski stamtąd jest wielkim, wymarzonym świętem. Wychowani w kulcie dla polskiej historii i kultury pragną spotkań z nami, rzucają się na polskie książki i czasopisma, a do Krakowa poszliby i na piechotę, choćby na kolanach, jak sami żarliwie zapewniają, z przesadą, która dobrze oddaje prawdę ich serc. Oni są Polakami emocjonalnie w stopniu większym niż my. Ich polskość nie ma żadnych kryzysowych skażeń, nie choruje na żadne wątpliwości. Ich polszczyzna...

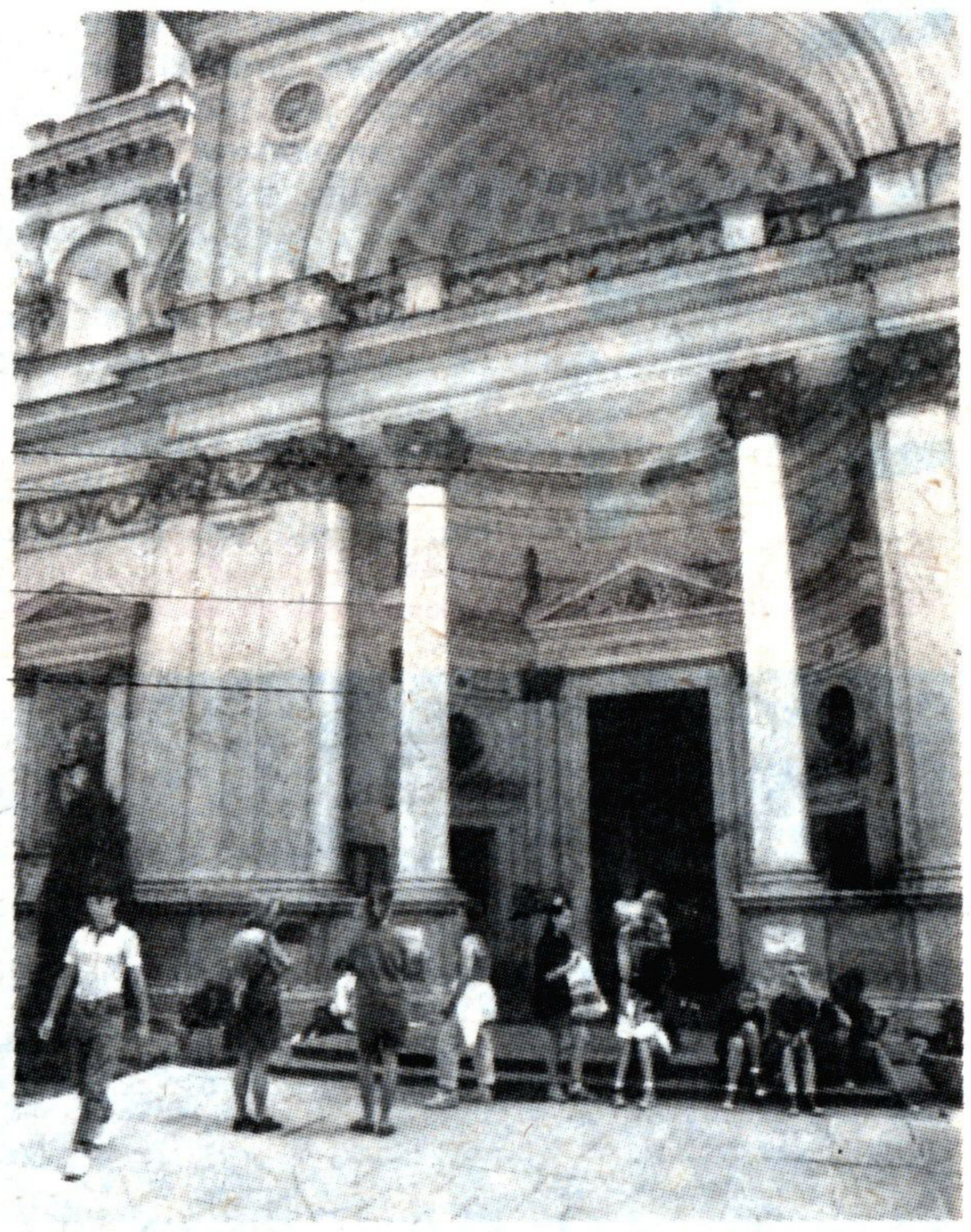
Ich polszczyzna jest płynna, śpiewna, pełna zapożyczeń. Jest źródłem ich bolesnego kompleksu: bywa przez nas, jakże niesprawiedliwie, odbierana jako ruszczyzna z powodu „zaciągania", co ich bardzo rani. Nieustannie są gotowi ją ulepszać.

Oni najczęściej nie mają tu bliskich rodzin. Dopiero od zeszłego roku mogą brać udział w koloniach polonijnych. W zeszłym roku przyjechało ich do nas około 120, w tym – 880, na 1900 wszystkich kolonistów.

Kolonie polonijne mają wielkie powodzenie, chętnych jest zawsze więcej niż miejsc. Ale gdybym była Towarzystwem Polonia, prowadzącym na nie rekrutację, byłabym w rozpaczy, gdybym komukolwiek stamtąd musiała odmówić.

GRAŻYNA SZROEDER







CO SIĘ PODOBAŁO, A CO NIE UCZESTNIKOM KOLONII POLONIJNYCH

	Tak	Nie
Bułgaria	– lizaki – że można chodzić do kościoła – pani Agnieszka – lekcje polskiego	– za mało pomidorów i owoców – niedobre mleko – jedna bułka na śniadanie – „kompot z kluskami" (czyli zupa owocowa)
Litwa	– wszystko wspaniałe! – ludzie kulturalni i serdeczni – dobre jedzenie – wsie i miasta czyste – pola zadbane – najpiękniejszy jest Kraków	– szkoda, że kolonia położona w okolicy mało atrakcyjnej turystycznie, bez zabytków
Austria	– lasy – zabytki – nocny alarm	– puste sklepy – opryskliwi sprzedawcy – pijani – brak urządzeń sportowych – mało wycieczek i zawodów sportowych
Belgia	– dyskoteki (bo w Belgii dyskoteki są dozwolone od 18 lat) – ten kościół, z którego widać całą Warszawę (chodziło o Pałac Kultury i Nauki)	– mało czekolady – niedobre jedzenie (zwłaszcza zupa kalafiorowa) – nie ma frytek do obiadu – trzeba samemu sprzątać w pokojach – telewizja
Anglia	– lasy	– dyskoteka (bez świateł i nastroju, kiepskie nagrania) – mało sklepów z jedzeniem – nie ma czekolady
Czechosłowacja	– Narew, bo czysta	– trochę nudno
Norwegia	– ciekawe wycieczki – zabytki	– mleko ma inny smak – za daleko basen
Włochy	– krajobraz – Kraków – cukierki i paluszki	– niedobre i drogie lody – okropnie zaniedbane łazienki i ubikacje – brak możliwości uprawiania sportów
USA	– spotkania z rodziną	– brak basenu i kortów – brak szafek na ubrania – rygor, zakazy – trzeba się kąpać grupowo pod natryskiem
Ghana	– fajnie jest – lasy	– że się ludzie gapią – nie ma sklepów

JAK HARCERZE Z BATALIONU „ZOŚKA”...



Krzysiek z „CC-2” wartę woli pełnić na drzewie zamiast w wygodnej wartowni – może to i bardziej pasuje do komandosa-„cichociemnego”?



W kronice drużyny znalazły się znaki wszystkich batalionów powstańczych



Na placu apelowym „Cichociemni” ułożyli z szyszek wielki znak swojej drużyny i dbają o niego... jak o ogródek działkowy

– Zastęp... Stój!

Grupa harcerzy, którzy właśnie wkroczyli przez bramę obozu, nieruchomieje.

– W lewo zwrot! Na prawo patrz!... Druhu drużynowy, młodzik Gabriel Sawicki melduje zastęp „CC-2” po wykonaniu zwiadu. Stan: sześciu – obecni wszyscy!

Waldek Grabski, drużynowy „Cichociemnych” jest zadowolony i gratuluje. „CC-2” zameldował wykonanie zadania wyprzedzając pozostałe zastępy. To był ich pierwszy rekonesans – zapoznanie się z okolicą. W pobliskich Kruklankach mieli dowiedzieć się wszystkiego o tym regionie Mazur i jak najlepiej poznać tę miejscowość.

Dopiero kilka dni temu przyjechali tutaj z całym Szczepem 291 Warszawskich Drużyn Harcerskich im. Batalionu „Zośka”. Najpierw była oczywiście pionierka – rozstawianie namiotów, budowa urządzeń, a na końcu wreszcie zdobnictwo. Prawdziwy obóz zaczął się dopiero od wczorajszego ogniska – już po oficjalnym apelu inauguracyjnym. Dziś oni – „Cichociemni” poszli na zwiad, a „Dąbrowa” – drużyna żeńska, na całodzienny rajd po okolicy.

Siadamy w cieniu rozpiętej między drzewami czaszy plamistego, wojskowego spadochronu.

– Dlaczego macie taką dziwną nazwę: „CC-2”? – pytam chłopców.

– Tak się przyjęło w drużynie, że poszczególne zastępy używają nie nazw, a kryptonimów – opowiadają. *Nasz oznacza, że jesteśmy drugim zastępem w drużynie „Cichociemnych”.*

Chwalą się też planami na cały obóz: w tym roku wypada 50 rocznica powstania Szarych Szeregów, w których walczył „Zośka” – Tadeusz Zawadzki, a potem cały harcerski batalion nazwany jego imieniem – bohater ich szczepu. To ważna rocznica i mimo że wypada dopiero we wrześniu, będzie obchodzona już na obozie: W trakcie trzydniowego rajdu odwiedzą „Wilczy Szaniec” – byłą wojenną kwaterę Hitlera w Gierłoży koło Kętrzyna. Będą też specjalne biegi i gry terenowe – stare okopy przebiegające w pobliżu obozu wprost zachęcają do takich zabaw. A poza tym oczywiście biegi na stopnie i sprawności harcerskie, zwiady i całodzienne rajdy, olimpiada obozowa, chrzest „biszkoptów”, ogniska – ale to przecież obozowa „normalka”.

Druha Waldka, drużynowego „Cichociemnych” wypytuję o pracę szczepu i drużyny w ciągu roku. Pokazuje mi oryginalną, oprawioną w drewno kronikę drużyny. Mówi o biwakach, rajdach, zimowiskach...

– Ale chyba największą imprezą w roku jest Święto Szczepu. Zawsze 23 listopada i zawsze połączone z Rajdem Szlakami Batalionu „Zośka”. Wszystkie zastępy wędrują po Warszawie drogą, którą w trakcie Powstania Warszawskiego odbyli żołnierze harcerskiego batalionu. Rajd kończy się w kwaterze Szarych Szeregów na Cmentarzu Powązkowskim. Spotykamy się tam wszyscy na uroczystym apelu. Także dwie drużyny zuchów, które działają w naszym szczepie, a obecnie są na kolonii zuchowej w Ocyplu.

Wieczorem, na polanie między podobozami, jak zwykle płonie ognisko. Ogień oświetla twarze „zośkowców” siedzących kręgiem dookoła. Daleko niosą się słowa Hymnu Szarych Szeregów:

„...I będzie Polska nasza,
my będziem Polakami
I stanie straż przed gmachem
Szarymi Szeregami...”

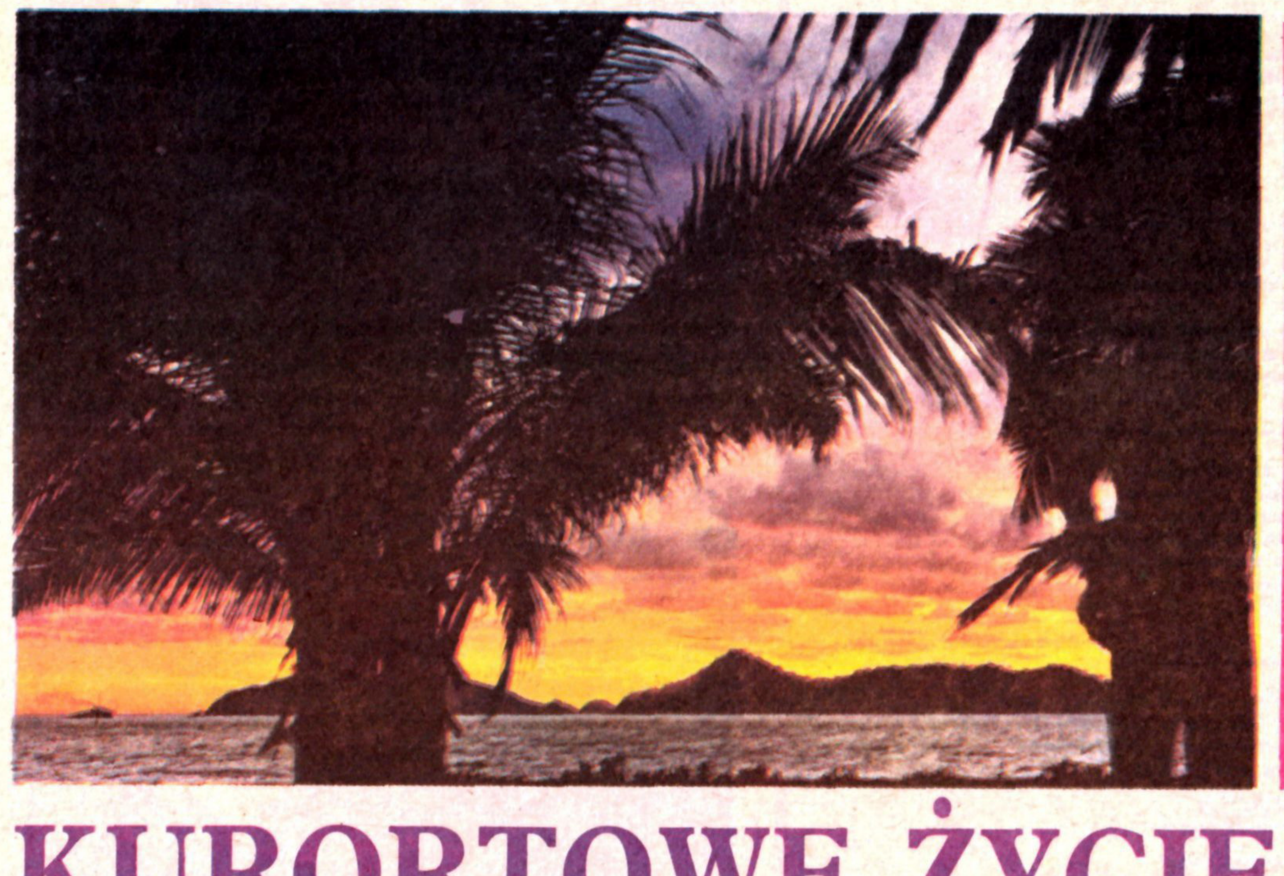
Potem jeszcze „Hej, chłopcy, bagnet na broń...”, „Pałacyk Müchla...”, „Marsz Mokotowa”... Aż w którymś momencie drużynowy intonuje „Płonie ognisko i szumią knieje...”. Wiedzą, że zgodnie ze starą, harcerską tradycją pieśń ta rozpoczyna gawędę, więc gdy śpiew milknie, wszystkie twarze zwracają się w jego stronę:

– Dziś opowiem Wam o pewnym harcerskim ognisku. Nie, nie obozowym, bo wtedy harcerze takich obozów jak nasz nie mogli organizować. Tamto ognisko kończyło ćwiczenia terenowe, które we wrześniu 1942 roku po raz pierwszy w Szarych Szeregach zorganizował „Zośka” dla swoich harcerzy. Był wtedy komendantem hufca Mokotów Górny. Z Warszawy harcerze wyjeżdżali konspiracyjnie, zastępami. Dopiero pod osłoną lasu przystępowali do realizacji zadań: dotrzeć do miejsc oznaczonych na mapie, w ciągu pół godziny zorganizować przeprawę przez rzekę, spuścić się po linie z piętnastometrowej wysokości, szybko wykonać dokładny szkic terenu, wykopać rów strzelecki... Była też i zaimprowizowana strzelnica.

Już o zmroku wszystkie zastępy zaczęły się schodzić wokół wielkiej polany. Na dany przez „Zośkę” znak wszyscy wybiegli z lasu i ustawili się na zbiórce. Po raz pierwszy mieli okazję zobaczyć się w tak dużym gronie i poczuć własną siłę (zasady konspiracji ograniczały możliwości kontaktów jedynie do własnej drużyny). Potem było ognisko. Półgłosem śpiewali pieśni wojskowe i patriotyczne. Gawędę przy ognisku poprowadził „Rudy”. Powiedział wtedy: „Życie byłoby nędzne i zawstydzające, gdybyśmy skupiali się tylko na przygotowaniu do zadań jutra, a nie brali udziału w walce już dziś. Ale życie byłoby głupie i bezsensowne, gdybyśmy żyli tylko walką dzisiejszą, a nie przygotowywali się do jutra. Zaś przygotowanie jutra to dwa tory: szkolenie żołnierskie do jawnej walki z wrogiem i szkolenie się naukowe, zawodowe, społeczne do pracy cywilnej w Polsce. Mam odwagę powiedzieć, że moją osobistą ambicją jest nie tylko bicie rekordów w Małym Sabotażu, chcę także kiedyś bić rekordy jako technik i człowiek. Żeby ruszyć z miejsca tę przeklętą bryłę świata, żeby dopomóc w nadrobieniu tych przeklętych zapóźnień nad Wisłą.”

Tu drużynowy zawiesił głos – zapadła długa cisza, w której słychać było jedynie drewno trzaskające w ognisku.

Obóz Szczepu 291 WDHiZ
im. Batalionu „Zośka”
w Przerwankach nad jez. Gołdopiwo
pod koniec lipca
odwiedził **OLGIERD LEWAN**
Fot. **autora**



WAKACJE W ACAPULCO (3)

KURORTOWE ŻYCIE

(Korespondencja własna z Meksyku)

A gdy już człowiek wygodnie usiądzie w fotelu i zapada w słodką drzemkę w przyjemnym chłodzie parasola, usypiany jednostajnym szumem fal... zaczyna się koszmar!

Jeszcze nie zdążyliśmy zdjąć butów, a już zewsząd nadciągnęły tłumy rozmaitych sprzedawców. Muszelki, świeże kokosy, grube wełniane narzuty na łóżka, koszulki, sukienki, srebrne łańcuszki, owoce, napoje, buty, żywe małpy, znów srebro, znów małpy i tak w kółko. Właściciele tych obnośnych kramów noszą cały swój towar przy sobie, nie przejmując się upałem ani piaskiem, w którym grzęzną po kostki. Szczególnie podziwialiśmy sprzedawców wełnianych kap. Było ich kilku, każdy dźwigał na grzbiecie kilkanaście sztuk – niemały ciężar.

Oczywiście wszystko „muy barato” (bardzo tanio), wszystko – ocassion!

Jest to czasami prawda – na plaży można kupić rozmaite rzeczy nawet taniej niż w Calecie – trzeba się tylko potargować.

Najpierw „gonimy” każdego, kto tylko podejdzie. Okazuje się jednak, że wcale nie jest to takie proste, bowiem handlarze na wszelkie sposoby starają się zachęcić potencjalnych klientów, do nabycia towaru. Najpierw zachwalają walory swojego towaru, potem tłumaczą, że u konkurencji jest on gorszy, brzydszy, droższy, wreszcie – informują, że są skłonni obniżyć cenę, jeśli tylko zdecydujemy się coś kupić.

Z reguły nawet obniżone ceny są takie, że zjadaczowi chleba znad Wisły włosy stają dęba na głowie. Bywają jednak także okazje.

Oto jakiś siedemnastoletni na oko chłopak oferuje nam srebrne łańcuszki. Powtarza się cały obrządek reklamowy i pada cena: sto trzydzieści tysięcy pesos za pięć sztuk. Cena rzecz jasna nie do przyjęcia, zwłaszcza że nie mamy żadnej gwarancji, czy oferowane łańcuszki są rzeczywiście srebrne.

Sprzedawca opuszcza do stu. Darek, kolega, który prowadzi pertraktacje, rzuca od niechcenia: „czterdzieści”, a gdy chłopak zaczyna lamentować i tłumaczyć, że będzie zrujnowany – zamyka oczy i udaje, że zasypia.

Tamten odchodzi. Po chwili wraca z propozycją: „osiemdziesiąt”. Darek śpi dalej. Po chwili jest już siedemdziesiąt. Żadnej reakcji.

Sprzedawca znika, by pojawić się znów po kilku minutach. Konfidencjonalnym szeptem, rozglądając się bacznie dookoła, mówi, że bardzo nas polubił i że nawet gotów jest stracić i sprzedać nam swój towar za pięćdziesiąt. – Gracias, no interesas – słyszy w odpowiedzi.

Po kilku następnych minutach pięć łańcuszków zmienia wreszcie właściciela za czterdzieści tysięcy. Sprzedawca wcale nie wygląda na specjalnie zmartwionego. Znika gdzieś w tłumie sobie podobnych, a na jego miejsce otacza nas grupa innych głośnych, natrętnych handlarzy. Nie mamy już siły, by się od nich opędzić.

Wreszcie przestajemy na nich zupełnie reagować. Gdy podchodzą – zamykamy oczy. Pomaga.

Tylko radość z tego triumfu mąci nam pewne odkrycie. Otóż wystarczyło zdrapać warstwę srebra z łańcuszka, by stwierdzić, że jest to bezwartościowy kawałek metalu. Podobnie jest i z innymi „okazyjnie” nabytymi. Czterdzieści tysięcy (czyli prawie piętnaście dolarów) za bezwartościowy kawałek metalu...? *– Ho, ho, ale z ciebie panisko* – śmiejemy się z Darka.

Wiatr od oceanu przyjemnie chłodzi, opalając przy tym na brąz. Tu ludzie kupują specjalne kremy, które spowolniają proces opalania. Słońce Acapulco jest bardzo zdradliwe.

Zdradliwa jest też woda. Krążą legendy o tym, jak potężne fale porywają amatorów kąpieli. Albo łamią im kręgosłupy, rzucając z potężną siłą na piach.

Wśród kąpiących jakoś nie widać niepokoju. Pluskają się nawet małe dzieci. Wchodzimy więc i my, choć nie bez strachu. Nie tyle jednak przed falą, co przed śmieciami. Woda jest straszliwie zanieczyszczona rozmaitymi odpadkami: pustymi pojemnikami z plastiku, zgniłymi owocami, deskami, papierami. Dopiero trochę dalej, w pobliżu wielkich hoteli wygląda trochę czyściej.

Woda jest ciepła jak zupa, choć i tak, biorąc pod uwagę panujący upał, zanurzenie w niej to wielka przyjemność. Doświadczamy pierwszego kontaktu z falami. To niesamowity żywioł! Człowiek bezwładnie fika koziołki i nagle ląduje na piasku plaży, albo też wciągany jest z powrotem, by po chwili znów paść plackiem na brzegu. Jedyny niepokój, jaki odczuwamy, to czy to co mamy w ustach, to taki gruby piach, czy nasze zęby. Człowiek łyka bowiem tego mnóstwo. Wypluwa się szybko, bo ów piach w połączeniu z niesamowicie słoną wodą nie jest szczególnie przyjemnym przysmakiem.

Dzieciarnia tłoczy się w pobliżu mężczyzny przyjmującego wpłaty na przejażdżkę „bananową łódką”, czyli gumowym pontonem ciągniętym przez motorówkę. Siada się na nim okrakiem i – hajda na zatokę, między przybrzeżne skały. W programie obowiązkowo znaleźć się musi przymusowa kąpiel po zakończeniu rejsu. Oczywiście prowadzący motorówkę zrzuca dzieci z banana dopiero przy samym brzegu, w dodatku są one ubrane w kapoki, a jeszcze na wszelki wypadek nad ich bezpieczeństwem czuwają rodzice i członkowie obsługi.

Dorośli natomiast bawią się w spadochroniarzy. Zakładają na siebie te wszystkie linki, zapinają klamry, potem dziesięć metrów biegu i – frrruu – w powietrze, oczywiście także ciągnięci przez motorówkę. Te kilka minut lotu nad zatoką i miastem daje mnóstwo wrażeń. Niewiele mniej daje lądowanie. Nie każdemu udaje się stanąć suchą nogą na plaży lub wielkim drewnianym pomoście usytuowanym kilkanaście metrów od brzegu. Niektórzy przeżywają jeszcze dodatkowe (bezpłatne) emocje akcji ratunkowej, choć oczywiście nawet przez moment nie są zagrożeni.

Amatorów mocnych wrażeń zapraszają zawodowi rybacy na połów drapieżnych ryb. Za pięćdziesiąt dolarów wypływa się wcześnie rano na ocean i patrzy. Nie wolno robić nic innego, bo to niebezpieczne dla łowiącego i pasażera.

A kto wreszcie nie przepada za łowami, lataniem i jazdą na chybotliwym bananie – może wybrać się w rejs statkiem spacerowym.

Są różne. Jedne mają zamontowane specjalne urządzenia pozwalające na obserwowanie wszystkiego, co dzieje się pod powierzchnią wody, inne wyposażone są w ogromne sale, w których przez kilka godzin nieprzerwanie trwa dyskoteka (można nawet wybrać sobie rodzaj muzyki, przy której chce się tańczyć: na jednym statku disco, na drugim muzyka hawajska, gdzie indziej przeboje czterdziesto- pięćdziesięciolatków itd).

Są wreszcie statki, które podczas krótkich, półtoragodzinnych rejsów docierają na drugi brzeg zatoki, oddalony nieco od miasta. Przewodnicy na nich powtarzają znudzonymi głosami: *Na lewo willa Dustina Hoffmana, w środku – Franka Sinatry, z prawej strony Michaela Jacksona, a z tamtej skały dwa lata temu skoczył do wody pewien zbankrutowany milioner...”*

Człowiek wraca do hotelu umordowany, jakby cały dzień wrzucał węgiel do piwnicy. Całe szczęście, że w pokoju panuje miły chłód, a i woda w basenie też nie nagrzała się zbytnio od słońca.

Zanurzamy się w przyjemnej niebieskiej cieczy. Przyjemnej do chwili zanurkowania, bo wtedy chlor wciska się w oczy. W Meksyku sypią go chyba nawet więcej niż w Polsce.

Eh, ciężko jest spędzać wakacje w Acapulco!

JAROSŁAW MACHOWIAK
Fot. **archiwum**

GWIAZDOZBIÓR

MEL BROOKS – prześmiewca pełen miłości



Brooks jako Fryderyk Bronski w „Być albo nie być”

Na ogół bohaterami naszej rubryki są przystojni mężczyźni i bardzo urodziwe kobiety – to zrozumiałe, gwiazdy filmu stanowią ucieleśnienie naszych marzeń, wzorce, również jeśli chodzi o wygląd zewnętrzny. Są jednak gwiazdy „pierwszej wody” o aparycji niepozornej, a przynajmniej grającej w ich osiągnięciach rolę drugorzędną. To aktorzy charakterystyczni, Ich portrety rzadko pojawiają się na okładkach magazynów, za to nazwiska w czołówkach filmów są prawdziwą ich ozdobą. Nie wypada tych artystów nie znać, jeśli interesuje nas kino.

Otrzymałam pokaźny pakiet listów, których autorzy wyrażają się z aprobatą o fantastycznej komedii, a raczej żarcie osnutym na kanwie wielu filmów fantastycznych, wyświetlanym u nas pt. „Kosmiczne jaja”. Chciałabym więc w tym „Gwiazdozbiorze” przybliżyć Wam sylwetkę scenarzysty, reżysera i aktora tego filmu – jednego z najznakomitszych współczesnych mistrzów komedii – Mela Brooksa.

Właściwie nazywa się Melvin Kaminski – ale nie ma żadnych rodzinnych powiązań z Polską. Jest Amerykaninem żydowskiego pochodzenia, zakochanym w swoim mieście – Nowym Jorku. Swój pseudonim artystyczny Brooks przyjął od nowojorskiego Brooklynu. Trzy zawody, które wymieniłam, to mało – jest też producentem, kompozytorem i dziennikarzem.

Od lat dziecięcych interesował się teatrem – specjalnie musicalem i komedią. Gdy miał zaledwie 12 lat, odniósł swój pierwszy sukces grając w sztuce „Golden Boy” (Złoty chłopiec) w Radbank w stanie New York.

Na początku lat pięćdziesiątych związał się z telewizją – pisał scenariusze do odcinków komicznej serii „Get Smart” (Zmądrzej chłopie) reżyserowanej przez Dona Adamsa. Przez 10 lat pracował dla Sida Caesara – świetnego showmana amerykańskiej TV, w jego programie „Your Show of Shows”. Współpracował w tamtych czasach z dzisiejszymi „filarami” amerykańskiej komedii filmowej i teatralnej – Woody Allenem i Neilem Simonem. Sukcesy na małym ekranie poparł udaną realizacją sztuki „Kiedy sprawy kiepsko stały” w teatrze. Następnie sam napisał dwie sztuki „Shinbone Alley” (Aleja Goleniowa) i „All-American” (Najlepsi Amerykanie). Wydał też albumy o treści komediowej „Mężczyzna 2000-letni” i „Mężczyzna 2013-letni”. Oba stały się bestsellerami.

Wciąż poszukiwał nowych środków wyrazu. W 1962 r. zainteresował się kinem. Zaczął od filmu... animowanego „The Critic” (Krytyk) – rysunkowego żartu zawierającego wiele celnych aluzji i komentarzy. Przyniósł mu on Oscara w 1963 r. Brooks nosił już wówczas przydomek „najzabawniejszego Amerykanina” – udowodnił, że nań zasługuje swoim debiutem aktorskim w pełnometrażowym filmie „The Producers” (Producenci). Za jego scenariusz otrzymał swojego drugiego Oscara.

Ogromny międzynarodowy sukces odniósł jego film (scenariusz i reżyseria), w którym również wystąpił jako aktor – „Młody Frankenstein”. W ten sposób sława człowieka filmu „zwyciężyła” sławę świetnego zabawiacza publiczności „na żywo”. Zainteresowanie „Młodym Frankensteinem” spowodowało powtórne odkrycie jego wcześniejszych filmów: „Dwunastu krzeseł”, „Błyszczących siodeł” i właśnie „Producentów”. W tym ostatnim filmie Brooks wypowiadał się na temat komedii muzycznej, w „Błyszczących siodłach” na temat westernu, w „Młodym Frankensteinie” – na temat dreszczowców. „Wypowiedział się” mrugając porozumiewawczo okiem do widzów, a równocześnie zachowując wierność wobec tradycji tych gatunków. Bohaterowie jego filmów zdają sobie bowiem sprawę, że biorą udział nie w realnych wydarzeniach, a w spektaklu.

W 1976 r. powstało „Nieme kino” Brooksa – film wyświetlany u nas, podobnie jak „Młody Frankenstein” i „Lęk wysokości”. Sprowadzenie do Polski dwóch ostatnich, wcześniejszych przecież w jego twórczości, obrazów było konsekwencją powodzenia „Niemego kina”. Było ono – jak twierdzi sam autor – wyrazem jego uwielbienia dla niemych filmów. Artysta ten uważa bowiem, że na ekranie zawsze powinna dominować akcja – miejsce dla „gadaniny” jest według niego w teatrze!

Wyjątkowym filmem w karierze Mela Brooksa był obraz, którego akcja działa się w Warszawie, w czasie II wojny światowej. W „Być albo nie być” (1983) grał główną rolę, nie będąc równocześnie reżyserem.

Filmy Brooksa robią wrażenie beztroskich, ale są bardzo starannie przemyślane i zrealizowane. Artysta podkreśla, że nie wierzy w tzw. szczęśliwy przypadek lub zbieg okoliczności. Jego filmy są rezultatem pedantycznych przygotowań. W każdym kontrakcie Brooks zastrzega sobie możliwość zmian od etapu scenariusza poczynając, aż do ostatniego dnia realizacji.

W „Kosmicznych jajach” Mel Brooks pozostaje wierny swemu stylowi – żartuje więc i parodiuje filmy sci-fi ile wlezie, a robi tak tylko z tematami i filmami, które kocha i szanuje. Jest prześmiewcą pełnym miłości.

EWA BIELSKA
Fot. **archiwum**

...i jako Yoghurt – odpowiednik mędrca Yody z „Imperium kontratakuje” w filmie „Kosmiczne jaja”.



WŁASNE PRAWA

Pucharowe rozgrywki zawsze wzbudzają sporo emocji. To właśnie podczas tej rywalizacji zdobyły sławę klubowe jedenastki Realu Madryt, Ajaxu Amsterdam, Juventusu Turyn, Internu Mediolan, Bayernu Monachium, Liverpoolu, AC Milan... Trzeba przyznać, że te właśnie zespoły dominować będą również w trakcie rozpoczynających się już jutro walk. Ale europejskie puchary rządzą się własnymi prawami i na awans do dalszych rozgrywek liczą również mniej znane drużyny. W przeszłości bywało bowiem i tak, że faworyci nie potrafili przełamać z determinacją grających jedenastek wcześniej skazanych na porażkę.

Jutrzejsza środa zapowiada się wyjątkowo atrakcyjnie. Los okazał się trochę złośliwy i już w pierwszych meczach dojdzie do kilku tzw. pojedynków na szczycie. Glasgow Rangers podejmie u siebie Bayern Monachium, Fiorentina – Atletico Madryt, Sporting Lizbona zmierzy się z Napoli... Na europejskie stadiony wybiegnie aż 128 drużyn, mistrzów i wicemistrzów poszczególnych państw oraz zdobywców krajowych pucharów. Wśród nich zobaczymy Ruch Chorzów, który zmierzy się z bułgarską jedenastką Sredec Sofia, Legię Warszawa – wylosowała FC Barcelona, GKS Katowice, który trafił na Rovaniemi Palloseura z Finlandii i Górnika Zabrze podejmującego u siebie Juventus Turyn. Wydaje się, że najtrudniejszą do pokonania przeszkodę mają wojskowi i zabrzanie. Ich rywale są bardzo atrakcyjnymi (głównie dla kibiców) drużynami, ale zarazem niezwykle wymagającymi. Nie znaczy to wcale, że Polacy już wkrótce (rewanże 27 września) pożegnają się z pucharowymi rozgrywkami. Górnika i Legię stać bowiem na spłatanie figla najlepszym. A Ruch oraz GKS także muszą uważać. Bułgarzy i Finowie łatwo nie ustępują. A więc...

Grają mistrzowie

Tu zawsze spotykają się najlepsze drużyny – tylko mistrzowie krajowych rozgrywek. PE ma więc najwyższą rangę i zdobycie srebrnego pucharu jest zadaniem arcytrudnym. Ta sztuka (popatrzmy na załączony wykaz) udaje się tylko renomowanym jedenastkom. Ciężkie zadanie mają więc do wykonania chorzowianie. Lider naszych ubiegłorocznych mistrzostw ligowych nie posiada w swoich szeregach zbyt wielu sław i każdy sukces w pucharowych bojach będzie miał swoistą wymowę. Wszystko zależy bowiem od predyspozycji chorzowskiej drużyny. Przy maksymalnej konkurencji ma ona szansę „przeskoczyć" mistrza Bułgarii i awansować do drugiej rundy Pucharu Europy.

CSKA SREDEC SOFIA jest obecnie najsilniejszą bułgarską jedenastką. Założony w 1948 roku klub (wielokrotnie zmieniano jego nazwę) zwyciężał w mistrzostwach kraju aż 27 razy, trzykrotnie zdobywał puchar. W roku 1967 CSKA dotarł do półfinału PE, co stanowi największe osiągnięcie sofijskiej drużyny. Pięć miesięcy temu Sredec dobrnął do półfinału Pucharu Zdobywców Pucharów, gdzie trafił na słynną Barcelonę. Z późniejszym zdobywcą głównego trofeum przegrał u siebie (1:2) i na wyjeździe (2:4).

Barwy klubu: czerwone (lub białe) koszulki i białe spodenki. Stadion CSKA może pomieścić 32 tys. widzów.

Trenerem drużyny jest Dymitr Penew. Jego zespół nie gra finezyjnie, ale prezentuje solidny futbol, w którym dominuje szybkość oraz dobre przygotowanie fizyczne. W sezonie 1988-89 Sredec zdobył 49 punktów (w 30 spotkaniach) i dość łatwo wywalczył tytuł mistrza kraju. Zawodnicy Ruchu zwrócą zapewne uwagę na Penewa i Stoiczkowa. To wyborowi snajperzy CSKA. W ostatnich rozgrywkach obaj strzelili aż 44 gole. Obok nich wystąpią w Chorzowie zapewne Wałow (w bramce), Mladenow, Dymitrow i Baczew (w obronie), Kostadinow, Kirow i Witamow (w pomocy). Trener Penew posiada jeszcze kilku dobrych graczy, z których każdy może sprawiać kłopot naszym aktualnym mistrzom. W Chorzowie panuje jednak spory optymizm. Oby tylko uzasadniony.

PE

1956–60 – Real Madryt, 1961–62 – Benefica Lizbona, 1963– AC Milan, 1964–65 – Inter Mediolan, 1966 – Real Madryt, 1967 – Celtic Glasgow, 1968 – Manchester United, 1969 – AC Milan, 1970 – Feyenoord Rotterdam, 1971–73 – Ajax Amsterdam, 1974–76 – Bayern Monachium, 1977–78 – Liverpool, 1979–80 – Nottingham Forest, 1981 – Liverpool, 1982 – Aston Villa, 1983 – Hamburger SV, 1984 – Liverpool, 1985 – Juventus Turyn, 1986 – Steaua Bukareszt, 1987 – FC Porto, 1988 – PSV Eindhoven, 1989 – AC Milan.

TYLKO DLA ZDOBYWCÓW PUCHARÓW

Rozgrywki o Puchar Zdobywców Pucharów nie mają zbyt długiej historii. Rozpoczęto je w 1961 roku i trzeba przyznać, że od samego początku stały się bardzo popularne. Jak sama nazwa wskazuje, występować w nich mogą tylko zdobywcy krajowych pucharów. Niegdyś sądzono, że w PZP jest dość łatwo o każdy awans, a nawet o wywalczenie głównej nagrody. O tym, że tak nie było, świadczy lista liderów europejskich rozgrywek. Pełno na niej znakomitych drużyn i dotąd nie zdarzyło się, aby do finału dotarł choć jeden przeciętny zespół. Z kronikarskiego obowiązku musimy zaznaczyć, że w finale (1970) wystąpił również nasz Górnik Zabrze (z Włodzimierzem Lubańskim na czele), który na wiedeńskim stadionie minimalnie uległ Manchester City 1:2. Obecnie o PZP także ubiega się wiele sław.

Do najbardziej znanych należy chyba FC Barcelona, aktualny rywal Legii Warszawa. Polscy kibice (a zwłaszcza poznańscy) doskonale pamiętają zespół z

CIĄG DALSZY NA STR. 7



Van Basten poprowadził AC Milan do finałowego zwycięstwa w Pucharze Europy '89. Obecnie broni trofeum. Rozpoczyna od występu przeciw HJK Helsinki



Robert Warzycha, najlepszy strzelec naszej ligi. Czy zdobędzie gole w meczu z Bułgarami?

Krzysztof Gutorski

Z WIZYTĄ W INDIAŃSKIM NIEBIE

8

Dosyć już, dosyć! – John był wyraźnie zgnębiony, ale bronił się dalej. – Jeszcze brakuje, żeby pan straszył śmiercią.

– Ja mam straszyć? To wasi amerykańscy uczeni stwierdzili, panie kolego, że statystycznie rzecz biorąc palacze umierają jedenaście razy częściej na raka płuc, prawie dwa razy częściej na zawał, a nawet na zwykły bronchit i grypę sześć razy częściej od niepalaczy!

Za lekarzami stanął George, zdrów i wesół, bez śladu zadrapania, bez najmniejszego siniaka. Pierwszy zobaczył go młody lekarz, za chwilę odwrócił ku niemu głowę starszy.

– Czy pan myśli, panie kolego, że jak pan nie jest palaczem, to pan nie pali? Błędnie, całkiem błędnie! Palacze zatruwają powietrze dokoła siebie i każą innym wdychać te wszystkie szkodliwe związki, o których mówiłem przed chwilą.

– Panie doktorze, a czy w tym indiańskim niebie nie ma żadnego lekarstwa, żeby John... żeby przyjaciel oduczył się palenia?

– Cudów się panu zachciewa, panie kolego! Nawet mamy taki preparat, znany zresztą także na ziemi, ale samo zażywanie go nic nie zmieni! Trzeba chcieć rzucić palenie, to wszystko.

– Nie każdy ma silną wolę.

– Można swojej silnej woli dopomóc! Dam najprostszą receptę, panie kolego, jaką każdy może zastosować do siebie: W ciągu dwóch miesięcy ograniczać stopniowo palenie do połowy ilości początkowej, a po tych dwóch miesiącach rzucić całkowicie.

– Tylko tyle?

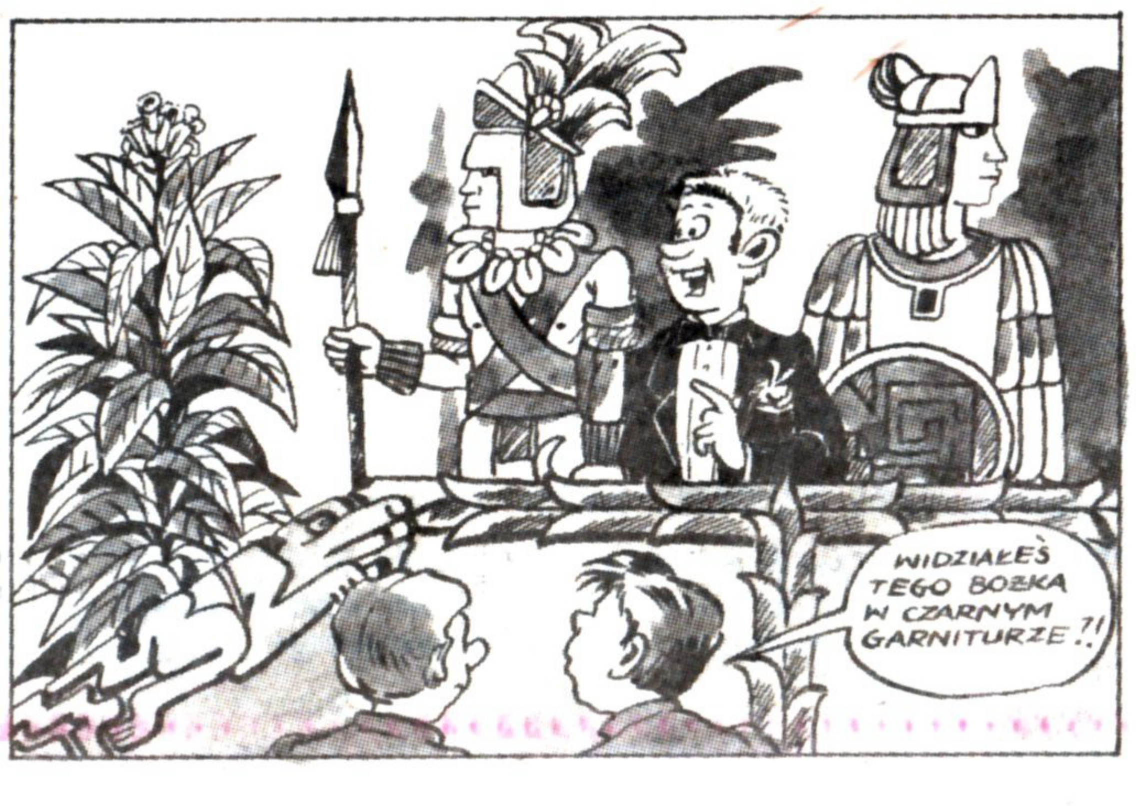
– Nie powiedziałbym „tylko", panie kolego. Przez pierwsze dwa tygodnie będzie pański przyjaciel chodził jak... powiedzmy, jak kłębek nerwów. No, może nawet przez miesiąc. Za to potem stanie się aniołem w ludzkiej skórze. Albo po prostu człowiekiem, zdrowym człowiekiem...

George uśmiechał się pod wąsem. Był zadowolony, że przyjaciel usłyszy prawdę o paleniu z ust specjalisty, nie tylko od niego. Może przekonają go argumenty lekarza z indiańskiego nieba? Popatrzył na Johna, zobaczył zbolałą twarz.

– Panie doktorze – poprosił – czy koledze nie pomógłby łyk tego wspaniałego nektaru, który mnie uzdrowił?

– Oczywiście! Sanitariusz, miarkę balsamu! Tylko chory musi przestać palić na jakiś czas, najlepiej niech rzuci palenie w ogóle!

Już po pierwszych kroplach twarz Johna rozpogodziła się, a kiedy skończył podaną mu czarkę balsamu indiańskiego, stanął rześko na nogi i roześmiał się uszczęśliwiony.



– Dziękuję, panie doktorze! A kogo to widzę? seniorita Carmen?

Nie mylił się. W pełnej wspaniałości hiszpańskiego stroju zbliżała się znajoma postać, złożyła dworski ukłon przed lekarzami.

– Seniores, czy mogę prosić o podwiezienie tych Ziemian i mnie na Radę Bogów? Jest już późno...

Lekarze nie odmówili prośbie i za chwilę sanitarka gnała na sygnale. Zanim przyjaciele zorientowali się, którędy i dokąd jadą, samochód stanął i wszyscy wysiedli. Podeszli parę kroków ku barierze, odgradzającej obszerny plac pokryty zieloną murawą. Wokoło kłębił się kolorowy tłum. Właśnie w tej chwili na podium, ustawionym pod baldachimem, zaczęły wchodzić liczne postacie ustrojone bogato w ozdoby z różnokolorowych piór, złota i wulkanicznego obsydianu.

– To indiańscy bogowie! – Carmen była bardzo przejęta i podniecona. – Ten największy, to pan dnia, nocy i niebios, Icamna. Po prawej stronie stanął Ah Pucz, bóg śmierci, a tam dalej... ech, seniores, i tak nie zapamiętacie imion tego tłumu indiańskich bogiń, bogów i bożków...

Rzeczywiście, na podium robiło się coraz ciaśniej i Ziemianom trudno przychodziło samo zorientowanie się w ilości bogów, nie mówiąc już o rozeznaniu imion. Wreszcie uciszyło się. Na mównicę wyszedł osobnik ubrany w europejski czarny garnitur, śnieżnobiałą koszulę z czarną muszką, z pięknym storczykiem w butonierce.

Cdn.



Bagni (z prawej strony) w roku ubiegłym wywalczył z Napoli Puchar UEFA. Teraz jego drużyna spotka się ze Sportingiem Lizbona

CIĄG DALSZY ZE STR. 6

Camp Nou, z którym potykał się niedawno Lech. W Poznaniu był remis, rzuty karne. One właśnie zdecydowały o awansie Hiszpanów. Jak będzie teraz? Czy warszawscy piłkarze sprostają znakomitej „Barcy"? Katalończycy w maju tego roku zawędrowali do finału PZP, gdzie bez trudu pokonali Sampdorię Genua.

FUTBOL CLUB BARCELONA liczy sobie 90 lat. Zawsze należał do czołówki hiszpańskiej ekstraklasy. Zdobył dziesięciokrotnie tytuł mistrza kraju i aż 23 razy puchar. Należy także do europejskich znakomitości. FC był finalistą PE, trzykrotnie triumfował w PZP /1979, 1982, 1988/ i trzy razy wywalczył Puchar UEFA. Katalończycy zawsze toczyli „świętą wojnę" z Realem Madryt, zawsze podkreślali własną autonomię. Dlatego ich pojedynki z królewską drużyną mają ogromne znaczenie (także polityczne). FC Barcelona jest gigantycznym klubem. W pasiastych koszulkach (czerwono-niebieskie) występują nie tylko futboliści, ale również koszykarze, piłkarze wodni i ręczni, szachiści, lekkoatleci, a nawet hokeiści na wrotkach. Stadion Camp Nou pomieścić może 108 tys. widzów! W drużynie zawsze występowali wyjątkowo dobrzy zawodnicy. Wystarczy wymienić kilku: Kocsis, Schuster, Zamora, Kubala, Lineker, Krankl, Suarez...

Trenerem katalońskiej jedenastki jest też człowiek o znanym nazwisku – Johan Cruyff, który jeszcze niedawno tak świetnie spisywał się na piłkarskiej murawie. Ma on do swojej dyspozycji doskonale rozumiejący się „gwiazdozbiór": Zubizaretta, Lopeza Alberto, Bakero... Ostatnio Cruyff wzmocnił swój skład zakupionym z PSV Koemanem i przybyłym z Juventusu Laudrupem. Warto dodać, że w „Barca" gra znakomity Brazylijczyk Alosisio.

Warszawska drużyna nie będzie więc w jutrzejszym meczu faworytem. Wystąpi więc bez psychicznych obciążeń. Dzięki temu może dojść do niespodzianki, jaką miał szansę stworzyć poznański Lech.

PZP

1961 – Fiorentina, 1962 – Atletico Madryt, 1963 – Tottenham Hotspur, 1964 – Sporting Lizbona, 1965 – West Ham United, 1966 – Borussia Dortmund, 1967 – Bayern Monachium, 1968 – AC Milan, 1969 – Slovan Bratysława, 1970 – Manchester City, 1971 – Chelsea, 1972 – Glasgow Rangers, 1973 – AC Milan, 1974 – FC Magdeburg, 1975 – Dynamo Kijów, 1976 – Anderlecht Bruksela, 1977 – Hamburger SV, 1978 – Anderlecht Bruksela, 1979 – FC Barcelona, 1980 – Valencia, 1981 – Dynamo Tbilisi, 1982 – FC Barcelona, 1983 – Aberdeen, 1984 – Juventus Turyn, 1985 – Everton, 1986 – Dynamo Kijów, 1987 – Ajax Amsterdam, 1988 – FC Malinnes, 1989 – FC Barcelona.

KOSZ PEŁEN MOCARZY

W Pucharze UEFA wystąpią aż 64 zespoły – wicemistrzowie, trzecie i czwarte drużyny krajowych lig. Dlatego też w imprezie (niegdyś nosiła nazwę Pucharu Miast Targowych), której patronuje Europejska Unia Piłkarska pełno jest kontynentalnych potęg klubowych. Wbrew pozorom eliminacyjne sito jest bardzo gęste i trudno jest dobrnąć choćiażby do ćwierćfinału zawodów. Zawsze Puchar UEFA zdobywali piłkarscy mocarze, wśród których nie brakowało również Juventusu Turyn – przeciwnika Górnika Zabrze.

JUVENTUS (znaczy młodość) znany jest na polskich boiskach. Wcześniej rywalizował z Widzewem (dwukrotnie) i Lechią Gdańsk. Jest w lidze włoskiej wyjątkowym rekordzistą. 22 razy zdobył mistrzostwo (pierwsze w roku 1905, ostatnie w 1986). W „Juve" grali znakomici piłkarze: Zoff, Gentile, Tardelli, Rossi, Platini i nasz Zbigniew Boniek, który jako pierwszy z Polaków wywalczył Puchar Europy. Stało się to w niezwykle dramatycznym meczu na stadionie Heysel w Brukseli, podczas którego doszło do tragicznej w skutkach bójki kibiców.

Prowadzony przez trenera Dino Zoffa zespół ostatnio spisywał się słabiej. Po odejściu kilku znanych graczy drużyna zajęła w lidze dopiero czwarte miejsce, ustępując Interowi, Napoli i Milanowi. W „Juve" występuje świetny zawodnik Rui Barros, który niegdyś bronił barw Porto. Obok niego Zoff pragnie widzieć radzieckich futbolistów Zawarowa i Alejnikowa.

Zabrzanie wyjechali do Turynu z postanowieniem wywalczenia remisu. Za dwa tygodnie dojdzie do rewanżu przed własną publicznością i wówczas będzie okazja do odrobienia strat (oby małych). Te straty odrobił w roku 1980 Widzew – i wyeliminował „Juve" z pucharowych rozgrywek.

ROVANIEMI Palloseura jest mało znanym klubem (założonym w 1950 roku). W fińskiej ekstraklasie występuje zaledwie od siedmiu lat. Niebiesko-biełych, którzy podejmą u siebie GKS Katowice, trenuje Brytyjczyk Bryan Doyle. Największym sukcesem zespołu z Rovaniemi (leżącego tuż przy kole polarnym) jest wywalczenie Pucharu Finlandii (1986) i trzecia lokata w ostatnich rozgrywkach ligowych. Katowiczanie już wiedzą, że największego zagrożenia mogą spodziewać się ze strony Tegelbergera i Dunkleya, którzy strzelają dla drużyny najwięcej goli. Dunkley jest Brytyjczykiem. Obok niego występuje inny piłkarz z Wysp – Polack. Należy więc sądzić, że ci dwaj zawodnicy oraz trener do fińskiego futbolu wnieśli sporo stylu brytyjskiego. Mimo wszystko GKS wylosował wyjątkowo szczęśliwie. Nie znaczy to wcale, że ma zapewniony awans do kolejnej rundy.

Puchar UEFA

1958–60 – FC Barcelona, 1961 – AS Roma, 1962–63 – Valencia, 1964 – Real Saragossa, 1965 – Ferencvaros Budapest, 1966 – FC Barcelona, 1967 – Dinamo Zagrzeb, 1968 – Leeds United, 1969 – Newcastle United, 1970 – Arsenal Londyn, 1971 – Leeds United, 1972 – Tottenham Hotspur, 1973 – Liverpool, 1974 – Feyenoord Rotterdam, 1975 – Borussia Moenchengladbach, 1976 – Liverpool, 1977 – Juventus Turyn, 1978 – PSV Eindhoven, 1979 – Borussia Moenchengladbach, 1980 – Eintracht Frankfurt, 1981 – Ipswich Town, 1982 – IFK Goeteborg, 1983 – Anderlecht Bruksela, 1984 – Tottenham Hotspur, 1985 – 86 – Real Madryt, 1987 – IFK Goeteborg, 1988 – Bayer Leverkusen, 1989 – SSC Napoli.

Fot. **E. Warmiński i archiwum**



Pucharowe pojedynki zawsze cieszyły się ogromnym zainteresowaniem kibiców

UŚMIECH NUMERU

PANI MĄDRALOWA zwiedza z mężem wielkie muzeum malarstwa. W pewnym momencie mówi do męża.

– Wiesz, podzielmy się zajęciami. Ja będę czytała z katalogu, a ty będziesz oglądał obrazy; tak pójdzie szybciej!

☆

MĄDRALÓWNA opowiada tacie:

– Dziś na lekcji uczyliśmy się, że Ziemia jest kulista. Tylko nie bardzo rozumiem, jak się właściwie ludzie o tym dowiedzieli?!

– Nie masz za grosz logiki! – złości się pan Mądrala. – Chyba każdy widział globus..!

ICH PIERWSZY CYKLOMOBIL...

CIĄG DALSZY ZE STR. 8

część ramy zrobili z desek i... stanęli wobec problemu wykonania zwrotnic. Tu z pomocą przyszedł tata Marcina, z zawodu elektryk. Powiedział młodym budowniczym, że skoro pojazd nie osiąga oszałamiających prędkości, to można przecież bez problemu zastosować klonicowy mechanizm sterujący, czyli taki jak w przyczepach samochodowych lub wozach konnych, zamiast skomplikowanych zwrotnic. A samo sterowanie można rozwiązać jak w motorówce, za pomocą linki nylonowej okręconej wokół wału kierownicy od „skasowanego" małego Fiata.

Kilka długich śrub z wieloma podkładkami, nieco gwoździ i kłębek sznura do bielizny sprawiły, że teoria stała się praktyką i pojazd zaczął jeździć. Jak się na wstępie okazało, gwoździe służące jako zawleczki nie wytrzymały obciążeń i trzeba je było wymieniać, lecz życzliwy sąsiad dospawał oś do kołnierza piasty i ten problem został rozwiązany. Obecnie pozostało do zrobienia tylne światło, wygodniejsze siedzisko, błotniki i parę innych kosmetycznych szczegółów. Poza tym – nie jest to ostatni pojazd, jaki zrobili Marcin i Sławek – na wsi można znaleźć mnóstwo rozwalonych ram rowerowych, zardzewiałych kół i innych skarbów, które dałoby się wykorzystać przy budowie cyklomobilu...

Jest więc szansa, że wkrótce zostanie zbudowany kolejny cyklomobil, szybszy i sprawniejszy od swego prototypu, który i tak budzi sensację wśród innych dzieci – i nie tylko.

★ ★ ★

Jeśli zbudowałeś w czasie wakacji cyklomobil, rower poziomy, rower wodny lub inne urządzenie napędzane mięśniowo – napisz o tym do „Świata Młodych" z dopiskiem na kopercie „Cyklomobil". Proszę o dokładny opis pojazdu i zdjęcie lub staranny rysunek. Autorzy najlepszych opisów (i pojazdów) otrzymają naklejki „100 lat Bund Deutscher Radfahrer" – Związku Kolarzy Niemieckich (RFN).

MAREK UTKIN

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI, ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, telex 81-36-58.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003, Katowice (tel. 53-94-57, telex 0315569).

REDAGUJE KOLEGIUM: **Redaktor naczelny** Stanisław Borowiecki tel. 21-15-61, z-cy red. nacz. Ewa Drobnik i Wanda Kobyłecka tel. 29-21-42. **Sekretarz redakcji** Michał Malicki, z-cy sekr. red. Lidia Wojciewska i Grzegorz Burakiewicz tel. 28-25-48. **Kierownicy działów:** Jerzy Dąbrowski (dz. nauki i techniki tel. 21-98-28), Ewa Kosińska (dz. szkolno-harcerski tel. 21-47-06), Teresa Maciszewska (dz. kulturalno-literacki tel. 28-77-21), Zdzisław Przybyłowski (dz. sportowy tel. 21-98-28), Barbara Skórska (dz. listów i łączności z czytelnikami tel. 21-81-13), Wojciech Wróblewski (dz. fotoreportażu tel. 21-98-28).

Graficy: Marlena Hanke, Szarlota Paweł i Magdalena Piotrowska. **Redaktorzy techniczni:** Danuta Drygalska, Grażyna Pajorkowska i Barbara Zając. **Kierownik korekty:** Barbara Boguszewska; korektorki: Maria Marasek i Irena Ochrymowicz.
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Ogłoszenia przyjmuje Redakcja Wydawnictw Poradniczych i Reklamy, al. Stanów Zjednoczonych 53. 04-028 Warszawa, tel. 13-20-40 do 49, wewn. 403. Cena ogłoszeń 1000 zł za 1 cm².

Wpłaty za ogłoszenia od osób fizycznych przyjmowane są na konto: NBP XV OM Warszawa, nr 1153-201478-139-11. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 04-028 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.
SKŁAD: Zakład Poligraficzny Młodzieżowej Agencji Wydawniczej w Warszawie.

Zam. A-359/89. A-33.
Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" w Łodzi Zam. 2444/89

UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 109 (4659)
Wychodzi:
wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-93214



ŚWIAT MODY

WODY! WODY! WODY!

Ten okrzyk jest niestety bezdźwięczny, więc nie wszyscy go słyszą. A szkoda, bo jest to krzyk Twojej... twarzy, której skóra jest szalenie po wakacjach spragniona. Owiewał ją wiatr, paliło słońce – i jedno, i drugie bardzo mocno skórę wysusza. A jeśli się do tego dołoży to, że dziewczyny nie zawsze pamiętają o kremach ochronnych... Jednym słowem, ten okrzyk choć bezdźwięczny, jest jednak donośny. Twoja skóra potrzebuje wody!

Przede wszystkim dotyczy to skóry najdelikatniejszej czyli twarzy. Nawet jeśli wygląda całkiem ładnie, to jest to wygląd... dzisiejszy. I jeśli braku wilgoci szybko się nie uzupełni, wysuszenie da o sobie znać po latach. Szybszym, niż wynikałoby to z wieku, wiotczeniem; głębszymi niż u rówieśniczek zmarszczkami... Och, wiem doskonale, że mówię Wam o przyszłości strasznie dalekiej, ale ona naprawdę kiedyś nastąpi. I naprawdę od tego jak się zachowacie dziś, zależy jaka ona (ta przyszłość) będzie.

Zachowanie prawidłowe jest bardzo proste – trzeba się dać skórze twarzy napić wody. Po prostu wody. Oczywiście nie takiej z miejskiego kranu, która cuchnie chlorem. Chodzi o wodę czystą, źródlaną, studzienną, mineralną z butelki kupowanej w sklepie wreszcie. Tą czystą wodą dobrze jest od czasu do czasu twarz (czystą twarz, trzeba ją przed takim „zabiegiem" umyć) przechlapać.

Tak jak to robi dziewczyna na zdjęciu – gdy mamy wody pod dostatkiem lub – gdy wody mamy niewiele, packając się po buzi mokrym tamponikiem waty. Po buzi i po szyi (też umytej, rzecz jasna).

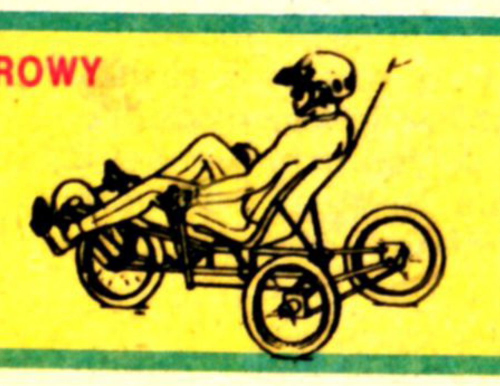
Taka chlapanka powinna trwać jakąś chwilkę, no – powiedzmy, minutę chociaż. Nie wycieramy twarzy bezpośrednio po tym prysznicu, zostawiamy krople do naturalnego wyschnięcia i wchłonięcia przez skórę. Po jakichś 10 minutach powinna być już całkiem sucha, wtedy wklepujemy w nią lekki krem nawilżający.

Ten „zabieg" najwygodniej jest robić przed położeniem się spać, ale i każda inna pora dnia jest dobra. Jak często go wykonywać? Teraz, bezpośrednio po wakacjach, czyli przez cały wrzesień, nawet i codziennie. Później, gdy skóra dostatecznie się dowodni, przestanie być w ogóle niezbędny. Z tym, że uwaga! – jeśli się mieszka w towarzystwie kaloryferów, trzeba je traktować tak jak słońce i zapobiegawczo raz na tydzień, na dwa tygodnie taką wodną chlapankę wykonać. Jeśli na dworze jest mniej niż 3°C, to – oczywiście – nie przed wyjściem na dwór.

RIUSZKA



„ROWEROWY ŚWIAT"



ICH PIERWSZY CYKLOMOBIL...

Piętnaście kilometrów od Kozienic znajduje się miejscowość o nazwie Ryczywół (nie mylić z drugą o takiej samej nazwie w woj. pilskim). Spędzałem tam właśnie wakacje i w czasie jednej z wycieczek natknąłem się na dwóch młodych ludzi, reperujących drewniany pojazd, wyposażony w kierownicę od „malucha" i cztery szprychowe koła – swojego rodzaju cyklomobil.

Jak się okazało, obydwaj są piątoklasistami, z tym, że jeden z nich mieszka na stałe w Ryczywole, zaś drugi przyjeżdża tu na wakacje, gdyż jego rodzice mają tam domek letni. Marcin Ochmański wraz ze Sławkiem Łukiewiczem zastanawiali się, co robić z czasem, który trudno było wypełnić wędrówkami po lesie czy nad (niestety zatrutą) Radomką, gdyż po fali upałów przyszły deszcze i zimno, a trudno jest całe wakacje spędzać przed telewizorem.

Na szczęście tata Marcina przywiózł z Warszawy starą dosyć książkę Jana K. Janowskiego „Młody konstruktor", w której były opisane rozmaite pojazdy – na silnik elektryczny, na pedały i dźwignie... Dodatkowym źródłem inspiracji była wystawa „Mięśnio-Sam" przed dwoma laty w Muzem Techniki, którą widzieli Marcin wraz ze swym tatą.

Koledzy wzięli się raźno do pracy, korzystając z porad rodziców i sąsiada, który posiada nieźle wyposażony warsztat, choć czasem byli przepędzani, gdy dorośli byli zajęci naprawą maszyn żniwnych (lipiec!).

Z tyłu wykorzystali wykorbiony wałek zrobiony z pręta stalowego, do którego umocowali popychacze i wahliwe pedały od dziecinnego samochodzika, na wale osadzili koła od wózka, które złączyli (z braku sprzęgła) drutem z osią napędową, siedzisko oraz główną

CIĄG DALSZY NA STR. 7

Sławek i Marcin – autorzy niecodziennego cyklomobilu

Fot. **Marek Utkin**

